

Rozdział VII. Pod osłoną nocy

Następnego dnia przygotowania do ucieczki ruszyły pełną parą. Gijas uwijał się jak pszczołka. Wszystko robił tak, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń, które mogłyby skutecznie przeszkodzić w ucieczce. W swoim baraku przetrząsnął wszystkie półki w poszukiwaniu ubrań, które mogłyby być dobre na Tresora. Nie mógł jednak niczego znaleźć. Oprócz płaszcza i skumany, którą przywdziewał w trakcie nocnych spotkań, nie miał niczego, co mogłoby pasować na zakonnika. Sam również potrzebował przebrania, aby nie zostać rozpoznanym zaraz po ucieczce z obozu. Zależało mu także, aby znaleźć maź, którą wysmaruje twarz Tresora, dzięki czemu upodobni ją do karnacji tutejszych mieszkańców.

– Skąd ja teraz wezmę pasujące na niego ubranie? – zastanawiał się Gijas, przetrząsając półki.

Mógł jedynie użyczyć mu swój turban i buty, których mu nie brakowało. Potrzebował jeszcze czarnej sukmany. Przysiadł na krześle i drapiąc się po głowie, myślał, jak rozwiązać sprawę. Nagle go olśniło. Palnął się mocno w czoło i energicznie wstał.

– Barak Raszida! On na pewno będzie miał to, czego potrzebuję.

To powiedziawszy, wyszedł ze swojej kwatery i skierował się do Raszida. Szedł względnie spokojnie, jak zawsze, nie ściągając na siebie zbyt wiele uwagi.

Kim był Raszid? Tego niskiego, krępego mężczyznę z mocno kręconymi czarnymi włosami od pozostałych radykalistów odróżniały długie wąsy. Był do tego prawdziwym człowiekiem biznesu. Posiadał wszystko, czego mogliby zapragnąć przesiadujący w obozie muzułmanie. Nawet sam Shahib często zaopatrywał się u niego w tytoń sprowadzany z samej stolicy Sudanu. Raszid krążył między wioskami, zbijając kokosy na prowadzonych tam interesach. Jego najważniejszą zasadą było nie dawać niczego za darmo, zawsze musiał w zamian otrzymać coś, co zaspokoiłoby jego chciwość. Gijas

uważał go za skąpca i zrzędę, jednak kiedy miał do niego interes, próbował być życzliwy względem niego.

Powoli doszedł do baraku Raszida, znajdującego się na drugim końcu obozu. Grubawy mężczyzna siedział na drewnianej ławie przed swoją kwaterą i palił fajkę, wygrzewając się w pustynnym słońcu. Kątem oka zauważył nadchodzącego Gijasa. Wstał leniwie z ławy i wyciągając przed siebie dłonie, zawołał:

– Zaczny gość w moich progach! Co cię do mnie sprowadza? Strasznie rzadko mnie ostatnio odwiedzasz.

Gijas zatrzymał się obok niego i wymieniając uściski, oświadczył:

– Rzadko cieszę się na twój widok, ale dzisiaj uczynię wyjątek – oświadczył bezceremonialnie. – Potrzebuję kupić nową sukmanę, najlepiej, jakby była czarna.

Raszid spojrział ciekawsko na Gijasa. Zlustrował cały jego ubiór, zaczynając od turbanu, a kończąc na skórzanych butach.

– Coś nie tak z twoją obecną sukmaną? Wygląda całkiem w porządku.

– Nie chodzi mi o tą – odpowiedział z lekkim rozbawieniem. – Moja druga, zapasowa, zaczyna się już przecierać i strzępić. Pustynne powietrze nie działa na nią zbyt dobrze. Miałbyś może taką na mój wzrost?

Na to pytanie Raszid wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Poprawił stalowy pas, który zdobił jego biodra, i skinieniem dłoni zaprosił Gijasa do środka.

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Mam wszystko, czego byś tylko zapragnął, synu pustyni. Wchodź, zaraz coś dla ciebie znajdę.

Barak był kompletnie zagracony. Zgromadzono w nim mnóstwo rzeczy – zaczynając od przypraw, a kończąc na rozmaitych figurkach i biżuterii.

Raszid podszedł do olbrzymiej skrzyni. Otworzył ją i zagłębił w jej czeluściach w poszukiwaniu odzieży. Gijas w tym czasie rozglądał się, dokładnie przeszukując wzrokiem bogatą wystawę. Nagle dostrzegł coś, co przykuło jego ciekawski wzrok. Na jednej z półek, w niewielkim koszyku, leżały brunatne miękkie kamienie idealnie nadające się do wykonania mazi mającej ucharakteryzować Tresora na Araba. Wykorzystując nieuważę handlarza, podszedł cicho do półki i zwędził z niej kilka kamieni.

– Czarna, mówiłeś? – dopytał nagle Raszid.

Gijas zląkł się tak bardzo, że prawie wypuścił kamienie z dłoni. Szybko schował je do sakiewki, którą nosił przy pasie, i niczym nieskrępowanym

głosem odpowiedział:

– Tak, tak. Ma być czarna.

Odetchnął z ulgą. Stary Raszid na szczęście niczego nie widział. Przetarł pot z czoła i podszedł bliżej kupca, który zdążył już znaleźć właściwą odzież. Wyciągnął ją z kufra i zaprezentował Gijasowi.

– Idealna. Jak najbardziej pasuje – oświadczył dżihadysta, sprawdzając ją dłońmi.

Handlarz jednak szybko mu ją wyrwał i pokiwał palcem.

– Nie tak prędko, synu chciwości. Najpierw chcę zobaczyć trzysta funtów, dopiero wtedy ci ją dam.

– Aż trzysta?! – spytał, wyrażając zbulwersowanie.

– Za dobry towar trzeba dobrze zapłacić. Nie ma innego wyjścia.

Gijas bez słowa sięgnął do sakiewki i wydobył z niej żadaną kwotę. Oczy Raszida na widok pieniędzy aż zaświeciły jak małe żarówki. Wręczając mu banknoty, oświadczył:

– Trzymaj. A teraz dawaj moją sukmanę.

– Oczywiście, jest twoja – odparł, przekazując mu odzienie.

Pieniądze policzył dwa razy, chcąc się upewnić, czy Gijas przypadkiem go nie oszukał. Na odchodne zwrócił się do niego:

– Interesy z tobą to czysta przyjemność.

Gijas jedynie machnął ręką. Opuścił barak handlarza i skierował kroki ku swojej kwaterze. Zamierzał wszystko powoli przygotować do nocnego wydarzenia. W duchu modlił się, aby wszystko poszło po ich myśli.

Będąc już w baraku, rzucił wszystko na stojący w kącie stolik. Teraz pozostało tylko wyciągnąć ze stajni dwa zdrowe wielbłądy. Był tylko jeden malutki problem. Stajnia była pilnowana przez całą dobę – strażnicy nie opuszczali jej nawet na krok, a warty zmieniały się co kilka godzin. Gijas wiedział jednak, jak sobie z tym poradzić. Był sprytnym i cwany człowiekiem. Doskonale wiedział, co strażnicy uwielbiają najbardziej. Postanowił więc zająć ich czymś na dłużej.

Wychodząc z kwatery, rozkazał jednemu ze swoich ludzi rozpalić ognisko i wrzucić na ruszt młode jagnię, które kilka dni temu przywieziono z wioski znajdującej się na wschód od obozu. Uczyniono, jak rozkazał.

Następnie skierował się do stajni. Zbliżając się do niej, przybrał groźny wyraz twarzy. Strażnicy na jego widok momentalnie stanęli na baczność. Podszedł do nich, dokonał uważnej inspekcji i spytał:

- Wszystko w porządku? Wielbłądy napojone i nakarmione?
- Jest tak, jak mówi dowódca – oznajmił jeden z dwóch strażników.

Gijas przeszedł się jeszcze raz wkoło nich i stanął obok drugiego. Spojrzał na niego ciekawskim wzrokiem.

– Zróbcie sobie przerwę. Abdul wrzucił właśnie na ruszt młode jagnię. Ja już wszystkim się tutaj zajmę – oświadczył.

Mężczyznom nie trzeba było powtarzać dwa razy. Bez słowa rzucili w kąt karabiny i pobiegli w stronę ogniska, aż się za nimi kurzyło.

Gijas miał mniej więcej trzydzieści minut, zanim przyjdzie kolejna zmiana. Stanął na chwilę obok wejścia do stajni, a następnie, upewniwszy się, czy nie jest obserwowany, wpadł do środka jak oszalały. Odwiązał dwa najbliższe wielbłądy i wyprowadził je na zewnątrz. Jednego przywiązał do uprzęży drugiego. Dosiadł zwierzęcia i poganiając, skierował się w stronę południowego wyjścia, które o tej porze dnia powinno być najsłabiej strzeżone.

Ku uciesze Gijasa nikt go nie dostrzegł. Pędem wyjechał za bramy obozu i gnając do pobliskiej oazy, myślał już tylko o jednym – aby jak najszybciej wrócić po zakonnika. Dojechał na miejsce w ciągu pięciu minut. Wielbłądy przywiązał do najbliższego daktyłowca, znajdującego się za wysoką skałą, i spokojnym krokiem udał się z powrotem do obozu.

Gdy dochodził do południowej bramy, spotkał Azama dogładającego zasieków. Widząc wracającego od strony oazy Gijasa, przemówił do niego:

– A skąd to się wraca? Co cię tak wyгнаło w tamtą stronę?

Gijas podchodząc bliżej, wyciągnął zza pasa bukłak i pokazał mu go.

– Byłem napełnić swój bukłak. Prawie świecił już pustką.

Musiał coś wymyśleć na poczekaniu. Cisza mogłaby zwrócić na niego niechciane podejrzenia.

– To już nasza obozowa woda ci nie smakuje?

– Jakoś wolę tę z oazy. – To mówiąc, ruszył w stronę bramy. – Wiesz, spieszę się – dodał. – Pogadamy kiedy indziej.

– No, jak uważasz – odpowiedział mu Azam, rozkładając bezradnie ręce.

Na szczęście nie zauważył niczego podejrzanego. Wielbłądy były perfekcyjnie schowane za skałami, dzięki czemu nawet dociekliwy wzrok nie mógł ich dostrzec.

Gijas doszedł do stajni w odpowiednim momencie i zdążył odprawić także drugą wartę. Następnie wrócił do swojego baraku, gdzie został do

zmierzchu.

Gdy słońce zaszło, zaczął przygotowania do ucieczki. Pospiesznie przebrał się w stare ciuchy, których nie nosił na co dzień. Ubrania Tresora zapakował do torby, do której wrzucił też jedzenie i dwa bukłaki z wodą. Gotowy do wyjścia usiadł na krześle i czekał, aż zapadnie noc, a najedzeni strażnicy stracą czujność. Po głowie krążyło mu wiele myśli. Powoli zaczął odczuwać rosnącą adrenalinę, ale i strach. Trochę obawiał się tej karkołomnej wyprawy. Teraz pragnął tylko upuścić emocji.

– Huh! – odetchnął, pochylając głowę. – Jeśli naprawdę jesteś Bogiem, pomóż nam bezpiecznie opuścić ten przeklęty obóz. A jeśli przeprowadzisz nas bezpiecznie, obiecuję, przyjmę cię jako swojego jedyne Boga i pana, wyrzekając się wiary w Allaha.

Noc zapadła szybko. Wraz z nią momentalnie spadła temperatura. Strażnicy skupili się przy ognisku. Wszyscy zjadali i dobrze się bawili.

Tresor bardzo przeżywał to, co miało nastąpić. Cały czas obawiał się najgorszego i w duchu modlił się do Boga, aby uchronił ich od zła i przykrości. Krążył zniecierpliwiony po celi. Co jakiś czas spoglądał na wyłaniający się zza chmur księżyc. Gijas znowu się spóźniał.

– Gdzie on jest? Przecież powinien już tutaj być – powiedział do siebie nerwowo, rozglądając się po celi.

Nagle do jego uszu dobiegł znajomy dźwięk. Błyskawicznie się ożywił. Kraty celi otworzyły się, a do środka wkroczył Gijas.

– No, nareszcie! Już myślałem, że się rozmyśliłeś – powiedział zakonnik, okazując swą radość.

– Ja? Nigdy w życiu! Czas opuścić to przeklęte miejsce, raz na zawsze. – To mówiąc, wyciągnął z torby miskę z mazią i ubrania. Odzież rzucił Tresorowi, naczynie zaś trzymał w dłoni. – Szybko, zakładaj to. W tym ubraniu nikt cię nie rozpozna – oświadczył.

Tresor zaczął pospiesznie wdziawać rzuconą mu sukmanę. Ostrożnie ściągnął habit i z wielkim poszanowaniem schował go do torby Gijasa. Teraz jego wzrok spoczął na miseczce w dłoniach dżihadysty, która bardzo go zaciekawiła.

– Co tam trzymasz? Po co nam to? – zapytał.

– Dowiesz się za moment. Teraz już nie gadaj, tylko ubieraj się, zanim ktoś nas zobaczy.

Tresor szybko wykonał swoją powinność. W nowym ubraniu nie różnił

się niczym od typowych Arabów. Gijas na koniec wysmarował jego twarz mazią, aby trochę przyciemnić jego karnację.

– No, to w drogę – oświadczył muzułmanin, otwierając kraty. – Bądź cicho i nie wykonuj gwałtownych ruchów, a wszystko będzie w porządku.

Zakonnik pokiwał jedynie głową. Następnie uczynił znak krzyża i wolnym, ale pewnym krokiem przestąpił próg celi. Gijas zatrzasnął ją na cztery spusty i idąc przed franciszkaninem, ruszył ku bocznemu wyjściu z obozu.

Szli wzdłuż budynku więzienia. Gijas uważnie rozglądał się na wszystkie strony. Każdy, nawet najmniejszy śmiech powodował gęsią skórę zarówno u niego, jak i u Tresora. Przez całą drogę do bramy zakonnik po cichu zmawiał modlitwy.

– Jest, udało się – wyszeptał do misjonarza, gdy osiągnęli pierwszy cel.

Radośni zaczęli iść zwawiej. Przekraczając bramę, usłyszeli w kącie chrapanie. Żołądek stanął Tresorowi w przetyku, a serce muzułmanina zabiło szybciej. Już myśleli, że zostali nakryci. Gijas momentalnie odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał niepokojący dźwięk. To, co zobaczył, uspokoiło jednak ich skołatane nerwy. Przy bramie spał jeden ze strażników, znużony pełnieniem wieczornej warty.

Odetchnęli z ulgą. Gijas machnął jedynie dłonią na Tresora i oświadczył:

– Szybko, biegnijmy do oazy. Tam będziemy bezpieczni.

Zakonnikowi nie trzeba było powtarzać. Ile miał tylko sił w nogach, pobiegł we wskazanym kierunku. Niebawem jednak odczuł skutki stołowania się w więzieniu. Po przebiegnięciu pięciuset metrów osłabł i musiał zwolnić kroku. Gijas próbował go pospieszać, nawet podpierał go, aby szybciej dotarli na miejsce. Na nic to się zdało. Musieli dojść tam spacerkiem.

Bez większych przeszkód i niebezpieczeństw znaleźli się w oazie. Zdyszany zakonnik oparł się o skałę, ciężko oddychając. Gdy regenerował nadwątlone siły, Gijas odwiązał wielbłądy. Przez jednego przerzucił swoją torbę.

– Wskakuj, czas ruszać ku wolności – oświadczył, kiedy tylko skończył.

Tresor bez słowa sprzeciwu wgramolił się na grzbiet zwierzęcia. Wielbłądy wciąż były do siebie przywiązane, więc Gijas nie musiał się martwić, że zakonnik nie potrafi się z nimi obchodzić. Zaczekał i bijąc jednego z wielbłądów w bok drewnianą różgą, dał im znak, aby wstały. Od razu się podniosły i na znajomy sygnał pocwałowały przed siebie.

Kiedy tylko świetlista łuna bijąca od obozu została daleko za nimi, przyszedł czas na radość. Pierwszy wybuchnął zakonnik:

– Chryste, bądź uwielbiony w gwiazdach okalających nas zewsząd! Bądź pochwalony teraz i na wieki! – powiedział głośno, unosząc głowę i dłonie ku górze.

Gijas zakrzyknął entuzjastycznie i mocno ścisnął dłoń Tresora.

– Udało się, udało! Boże, jaki jestem szczęśliwy! – wykrzykiwał, okazując zadowolenie w różnoraki sposób.

– Nie wierzyłem w sukces tej ucieczki do samego końca. Teraz już wiem, że to palec Boży wyprowadził nas stamtąd. Bogu niech będą dzięki! – odparł zakonnik przejęty do łez.

Bardzo wzruszył go sukces przedsięwzięcia. Odczuwał także niewyobrażalne zmęczenie. Co rusz zamykał oczy, siedząc na grzbiecie wielbłąda.

– Ech... Całkiem opadłem z sił. Będziemy musieli zatrzymać się gdzieś na noc – zwrócił się sennym i zmęczonym głosem do swojego towarzysza.

Gijas cały czas czuwał. Szybko zareagował na słowa misjonarza.

– Niedługo powinniśmy dotrzeć do kolejnej oazy. Tam rozbijemy obóz – odpowiedział.

Tresor postanowił jednak upewnić się jeszcze co do jednego.

– A jak daleko jest ona od obozu? – spytał.

Gijas zaśmiał się życzliwie.

– Na tyle, aby bezpiecznie przy niej odpocząć i z zapasem czasu ruszyć w dalszą podróż.

Teraz Tresor poczuł bezwzględna ulgę, był już o wszystko spokojny. Zewsząd otaczała ich bezkresna pustynia. Drogę oświetlały im tylko gwiazdy i księżyc.

Parli przed siebie, aby jak najszybciej dotrzeć do oazy. Powoli zbliżała się północ, a oni dalej błądzili, szukając miejsca, w którym będą mogli znaleźć tymczasowy azyl.

– Cholera, gdzie to jest?! Przecież znałem drogę do tego miejsca – gorączkował się Gijas, nerwowo spoglądając na wszystkie strony.

Tresor natomiast wyglądał na opanowanego.

– Spokojnie, na pewno tam trafimy. Więcej cierpliwości – powiedział, pragnąc uspokoić kompana.

Powoli dotarli do wysokiej wydmy. Postanowili ją pokonać i wejść na

szczyt, aby rozejrzeć się po okolicy. Było to niestety trudne podejście, piasek co rusz osuwał się spod kopyt wielbłądów, utrudniając im zdobycie wzgórza. Z trudnością udało im się je sforsować. Na szczycie mogli przez chwilę napawać się cudownym widokiem. Z jednej strony mógł przerażać, jako że poza piaskiem nie było tam niczego, a z drugiej – zapierał dech w piersiach, gdyż ukazywał surowość i okrutność pustynnego krajobrazu.

Nagle Gijas dostrzegł coś po zachodniej stronie wzgórza.

– Woda? – spytał cicho, zaciekawiony. Światło księżyca wyraźnie się od czegoś odbijało.

Tresor nie przeszedł obojętnie nad tymi słowami. Zeskoczył z grzbietu zwierzęcia, podszedł na skraj wydmy i uważnie przyjrzał się miejscu, w którym na ziemi błyszczało światło księżyca. Był pewny, że dotarli wreszcie do upragnionego miejsca.

– Tak, to woda. Wreszcie dojechaliśmy – oświadczył towarzyszowi.

– Wskakuj z powrotem na wielbłąda. Musimy się tam szybko dostać – zwrócił się do niego Gijas.

Zakonnik wskoczył na grzbiet zwierzęcia. Spokojnym, acz łagodnym tempem dojechali do oazy, pośrodku której znajdowało się niewielkie jezioro, zewsząd otoczone palmami daktylowymi. Pomiedzy drzewami piasek porastała bujna trawa. Był to wspaniały widok dla spragnionych ochłody podróżników. O tej porze było jednak inaczej. Przenikliwy chłód zaczął doskwierać obu wędrowcom. Będąc już przy zbiorniku wodnym, zeskoczyli z wielbłądów, a Tresor przywiązał je do najbliższego drzewa.

– Znajdę jakieś drewno na ognisko. Tutaj coś musi być, nawet trawa jest sucha – oświadczył muzułmanin zakonnikowi, pocierając energicznie dłonie.

Tresor nie zamierzał jednak stać bezczynnie. Postanowił pomóc towarzyszowi w poszukiwaniu opału.

– Pomogę ci. Razem pójdzie nam sprawniej.

– No, to bierzmy się za robotę!

Rozdzielili się. Każdy poszedł w innym kierunku, a ponownie mieli się spotkać na drugim brzegu jeziora. Wytrwale przetrząsnęli całą oazę. Na szczęście udało im się znaleźć kilka uschłych, przewróconych palm. Miękkie i włókniste wnętrza łatwo oddzielało się od reszty za pomocą zwykłego noża. Tresor ściągnął z głowy turban i ładował do niego kawałki.

Po zebraniu odpowiedniej ilości opału zabrali się za rozpalanie ogniska. Wysuszone na wiór szczapki błyskawicznie zajęły się ogniem, dając

przyjemne ciepło. Tresor usiadł obok i wyciągając w stronę żaru dłonie, próbował się ogrzać. Gijas postanowił jeszcze nakarmić wielbłądy przed dalszą podróżą.

– I co dalej? Prędzej czy później dowiedzą się o naszej ucieczce – powiedział Tresor do towarzysza, który właśnie szedł w jego stronę.

– O to się nie martw. Szybko nas nie znajdą, ślady na pustyni znikną, zanim zdadzą sobie sprawę, że nas nie ma – odparł, siadając obok. Wyciągnął zza pasa niewielki bukłak, odkręcił go i wypił kilka łyków orzeźwiającej wody. – Jutro wyruszymy na wschód, do Magrur. Tam zostaniemy przez dwa dni i uzupełnimy zapasy. Musimy być jednak ostrożni. Shahib ma wiele wtyczek i szpiegów, więc nie wolno nam wszystkim ufać. Musisz o tym pamiętać! – pouczał go.

Gijas świetnie znał realia życia terrorystów. Wolał zatem, aby nikt ich nie rozpoznał i nie zdradził miejsca ich pobytu Shahibowi. Mogłoby ich to zgubić.

– A jak daleko mamy do Magrur?

– Będzie z osiemdziesiąt kilometrów – oświadczył Gijas bez większego zastanowienia.

Zakonnik westchnął głęboko i pochylił głowę. Z jednej strony był szczęśliwy z powodu ucieczki z tego przeklętego miejsca, dalej jednak odczuwał poważny niepokój i przecucie, że wszystko może się dla nich skończyć tragicznie. Za wszelką cenę pragnął tego uniknąć, ale nie mógł przewidzieć, co wydarzy się w czasie podróży do Chartum.

– Wciąż nie potrafię uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Chyba Bóg mi ciebie zesłał, abyś wy dostał mnie z niewoli i uratował od niechybnej śmierci.

Gijas nic nie odpowiedział na te słowa. Przetarł jedynie ręką nos i głośno zachrząkał. Czuł się dziwnie, coś zaczynało zmieniać się w jego wnętrzu. I choć nadal był szorstki i brutalny, coś ciągnęło go w stronę Chrystusa. Między franciszkaninem a byłym terrorystą powstała przyjacielska relacja, więź, która wcześniej nie miała prawa bytu.

„Przecież usiłowałem go zabić jak zwykłego psa. A to wszystko na chwałę Allaha. Co się ze mną stało?” – zadawał sobie w duchu to trudne pytanie. Starał się od niego uciec jak najdalej, ale myśli co jakiś czas powracały i trawiły jego umysł. Wtedy przypominał sobie obietnicę złożoną Chrystusowi.